

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej“.

Katowice, sobota, dnia 13 marca 1909.

Ada Negri.

ULICZNIK.

Kiedy go widzę, jak błotnistą drogą
Brudny a śliczny się zwija —
Łachman na grzbiecie, na wiatr goła szyja,
Wpółboso, ani dbając tam o kogo;

Jak między wozy nagością swą widny,
W zdartych porciętach się kręci;
Jak w psy kamienie ciska bez pamięci,
Jak złodziej, srogi już i już bezwstydy;

Gdy widzę, jak się śmieje i weseli,
Biedny kwiatusek cierniska,
I gdy pomyślę, że dom bez ogniska,
Matka w fabryce — ojciec więzień w celi!

Jakiś mi przestрах tłumi serca bicie,
I pytam: Co będzie z ciebie?
Ty, co bez światła na ziemi i niebie,
Głodny, obdarty idziesz tak wprost w życie?

Za lat dwadzieścia — czem będziesz słowiczek
Co dziś tak śpiewa, nieboże?
Siewcą zepsucia, oraczem, czy może
Łotrem dojrzałym na stryczek?

Uczciwą bluzę będziesz miał na grzbiecie,
Czy galerniczną obrożę?
Warsztat, więzienie, czy szpitalne łóżę
Zbliży nas znowu, o dziecię?

I zaraz biec chcę na uliczne błoto,
I objąć chłopię w ramiona,
Do serca tuląc, co w smutku mi kona,
Z śmiertelną trwogą, z bolesną pieśczętą.

Pocałunkami chcę okryć moimi
Piers jego, usta — już zmięte,
I szeptać słowa stłumione i święte,
Siostrzanym głosem, z oczyma łzawymi:

— I jam tak dziko rośła, w nędzy, w brudzie,
I jam cierniska jest kwiatem,
I moją matkę sługą zwali ludzie,
I ja znam boleść! Dziecię, tyś mi bratem!

Władysław Reymont.

Sąd.*)

— Naraz drzwi się z hukiem ozwały, i wiatr buchnął na izbę, a z ciemnej sieni jeli się cisnąć chlōpi jakąś groźną, milczącą kupą, nie rzekłszy nawet pochwalony, że młynarz jaże łyżkę puścił na stół i, przytrzymawszy lampę, rozbujaną od pędu, wodził po nich zdziwionemi oczyma.

— Coś was sporo! — mruknął.

— A jeszcze więcej czeka na dworze — rzekł Jędrzej, wysuwając się naprzód.

— Sprawę to jaką macie?

— Juści co nie na pogwarę przyslim — ozwał się któryś, drzwi przywierając.

— To siadajcie, migiem skończę kolację.

— Niech wam pójdzie na zdrowie. Poczekamy ździebko...

Młynarz jął pojadać śpiesznie, chlipający, a chlōpi usadzili się po ławach, to plecy nagrzewali pod piecem, pilnie jeno spozierając na Jędrzeja, który zasiadł podle stołu i, sparty o niego łokciami, srodze się zadeliberował.

— Psi czas, co? — zagadnął młynarz.

— W marcu, jak w garncu!

— Jak zawždy przed zwiesną.

I na tem się urwało, że w cichości, jeno młynarzowa łyżka skrzybotała po wrębach, zaś na dworze ktoś o przy-ciesie buciury obijał z błota, i czasami wiatr ciepłał się z szumem o ściany, aż pojękiwały, a deszcz bębnił w zapotniałe szyby.

— Jadwiś! — krzyknął młynarz, ocierając garścią wąsiska.

Z bocznej izby jawiła się tęga pannica, wielce urodna i przybrana z miejska, przejrzała bystro chlōpów i, zebrawszy miski na naręcze, wyszła, kolebiąc szerokimi biodrami.

— Cóż to za sprawa? — zaczął młynarz, przytkając w tabakierę.

Ale ni jedna ręka wyciągnęła się do tabaki, bowiem twarze się nagle zmroczyły, jaki taki chrząkał i drapał się frasośliwie, a wszyscy patrzyli w Jędrzeja, któren się wyprostował i, wparłszy blade, nieustępliwe oczy w młynarza, powiedział wolno:

— Przyslim, abyście nam wydali złodziejów...

Młynarz rzucił się w tył, oczy wystrzeszczył, ręce rozwiódł i zabelkotał:

— W imię Ojca i Syna! A skądże to ja wiem?

— Miarkujemy, że wy jedni wiedzieć o nich musicie! — rzekł ciszej Jędrzej i powstał, chlōpi się też z ław dźwignęli, a stając kołem, kiej ścianą twardą, wbili w niego chciwe i ostre ślepie, niby te pazury jastrzębie, aże poczerwieniał.

— Przyslim do was po prawdę! — szepnął z mocą Jędrzej.

— I musicie nam powiedzieć, musicie! — przywórtzyli głucho a srogo.

*) Ze znakomitej powieści Władysława Reymonta p. t. „Chłopi“, pozwalamy sobie przytoczyć ten z niezwykłą siłą napisany ustęp, przedstawiający sąd chlōpski nad wsiowymi złodziejami.

— Jaką prawdę? We łbach wam się troi! Skądże to ja mam wiedzieć? Spółkę trzymam ze złodziejami czy co? — gadał prędko, przykręcając światło roztrzęsionymi rękami.

— Wiadomo, żeście poczywy, ale złodziejów znacie. Jakże? Ukradli wam jesienią konie, a wy nic, ukradli wam niedawno pieniądze, złapaliście pono nawet w komorze, a wy znówu nic, ani do sądu żeście nie podali, ni nawet strażnikowi nie powiedzieli.

— A po co? żeby jeszcze dolożyć? Cóż mi pomoże sąd albo strażniki? Złapią pewnie ten wiaterek w polu i na postronku mi go przywiedą. Niech im ta na sądzie ostatecznym zapłacą za moją krzywdę.

— Z tego jeno to widać, że się boicie wydać złodziejów.

Bym wiedział, to darowałbym straty i nie wydał? Darmo mi pewnie...

— A wy ciągiem jedno w kółko — przerwał mu ostro Jędrzej. — Nie na sprzeciw z wami przyslim, jeno po prawdę, a że nam pilno, bo tam cały naród czeka na dworze i po chałupach, to po przyjacielsku prosimy, powiedzcie, kto wam ukradł pieniądze.

— Żebym wiedział, to jużby o tem sądy wiedziały i cała wieś — tłómaczył się żarliwie, z trwogą patrząc na zacięte, podejrzliwe twarze, ale Jędrzej rzucił się niecierpliwie, błysnął groźnie oczami, a przytrzymując go niechcący za orzydło, rzekł krótko i twardo:

— Coście rzekli, nieprawda! Ale jak na to przysięgniecie w kościele, wiarę damy i ostawimy was w spokoju.

Młynarz aż przysiadł i gadał niby to ze śmiechem:

— Heł heł żarty, widzę, się was trzymają, jakby w zapusty... pewnie, jak do kogo przejdziecie hurmą, a znievolicie kijami, to gotów wam przysięgać na wszystko, co jeno zechcecie... Prawdę wam mówię, nie wiem nic i żadnych złodziejów nie znam. Chcecie, to wierzcie, a nie to nie, ale do przysięgania mnie nie zmusicie, boście nie sąd... — podniósł się, bardzo tocząc oczami.

— A właśnie, sądem tu przyslim, sprawiedliwie karzącym! — powiedział Jędrzej tak mocno, że młynarz porwał się zestraszony, nie mogąc nawet słowa wykrztusić.

Chłopi stali w ponurej cichości, wpatrzeni w niego rozgorzałymi ślepiami, przestępując niecierpliwie z nogi na nogę, a tak groźni, tak pełni jakiejś srogiej powagi, że nie wiedział, co począć, jeno rześisty pot ścierał z łysiny, i latał przerażonymi oczami po ich twarzach zaciętych i nieustępliwych, zrozumiał bowiem, że to nie przelewki, że to się coś strasznego zaczyna.

Przysiadł wreszcie na ławie i, zażywając raz po raz tabaki, skrzepiał się, by coś postanowić, gdy Jędrzej przystąpił do niego i rzekł uroczyście:

— I prawdy wyznać nie chcecie, przysięgać wam straszne. Z tego prosto wychodzi, żeście ze złodziejami w zmwowie!

Kieby piorun pobok trzasnął, zerwał się tak gwałtownie, jaże ławka rymnęła na podłogę.

— Jezus, Marja! Ja w spółce ze złodziejami! Mnie to powiadacie!

— Rzekłem i jeszcze przywtórzę.

— I my powtórzymy to samo! — huknęli społem i wszystkie ręce groźnie wychlusnęły ku niemu, a srogie twarze pochyliły się, kiej te ostre, sępie dzioby, gotowe do darcia.

Ale na hałas wpadła Jadwiś i stanęła jak wryta.

— Co się tu wyprawia? — pytała zalekniona.

Opadły pięści, zaczęli chrząkać, a ktosik powiedział gniewnie:

— Nic tu po babach, podsłucha i z ozorem poleci.

— Niech sobie idzie, skąd przysła.

— Gęsi macać, a nie w chłopskie sprawy nos wtykać!

— wrzeli coraz głośniejsze, że Jadwiś srodze rozgniewana, wybiegła, trzasnąwszy drzwiami.

Zaś Jędrzej, wytrząchając ręką, znówu rzekł:

— To mówię wam, młynarzu, co przysła już pora sądzić i karać!

— I robić porządek na świecie.

— I złe vypleniać, a zaprowadzać sprawiedliwość — padały groźne, ciężkie słowa, i zaciśnięte pięści trzęsły się przed jego twarzą posiniąłą.

— Bójcie się Boga! Ludzie, czego wy chcecie? Cóżem to winien? — jęknął wystraszony, obzierając się na wszystkie strony, ale Jędrzej, nie bacząc na niego, jął mówić prędko, cicho i tak twardo, jaże mróz przechodził:

— Kiej wyznać nie chce, winien i na sąd go bierzta, chłopy, pod kościół... Na sąd pójda wszyscy, którzy naród krzywdzili, na sąd sprawiedliwy i na ciężką karę. Bierzta go, chłopy!

— Jezus, Marja! Ludzie! — bełkotał w trwodze śmiertelnej, rozglądając się nieprzytomnie, gdyż chłopi ruszyli ławą ku niemu. — Ludzie... jakże to powiem?... Przysięgałem. Spalą mnie albo zabiją, jak wydam... Jezu miłosierny! Puście mnie! Powiem wszystko, powiem! — charczał, bo go już chyciło kilkanaście rąk i wlekło do drzwi.

Długo nie mógł przemówić, zwałił się na stół i dyssał, otoczyli go, ktosik mu wody dał się napić, a drudzy mówili przyjaźnie:

— Nie bójcie się niczego, kto z narodem idzie, temu włos z głowy nie spadnie.

— Jeno całą prawdę wyznajcie.

— Wiedzielim, żeście poczywy i zbójów nazwiecie.

Młynarz wiał się w sobie, kiej ten piskorz przydeptany, ognie go przejmowały i mrozy lute, blade bowiem i czerwienie naprzemian, naraz wyprostował się, gotowy już na wszystko, ale nim rzekł, zajrzał do sąsiedniej izby.

Jadwiś mignęła we drzwiach, jakby odskakując z podsłuchów, a potem wyjrzał oknem na świat i dopiero, stanąwszy przed gromadą, przeżegnał się i szepnął:

— Jak na świętej spowiedzi mówię prawdę, że oba Gajdy i Starszy.

Cichość padła, stanęli, kiej wryci, przezierając po sobie w zdumieniu, że jeno wznosiły się sapania i przydechy chrzypiące, aż pierwszy Jędrzej się ozwał:

— Jakaśmy i miarkowali, jeno pewności nie było. Ale teraz wiemy już, co nam potraza. Wiemy, psiachmać! A, zbójce piekielne — gruchnął pięścią w stół. — Trza chwasty wyrwać z korzeniami, bych się nie rozplenily. Oba Gajdy, ojciec ze synaczkiem, a na trzeciego Starszy? Ano, to w imię Boże pójdziemy do nich, a wy, panie młynarzu, z nami, byście im z prawdą stanęli do oczów...

— A pójde i rzeknę! Jakby mi kamień spadł z piersi. A stanę i powiem, jako są zbójce i złodzieje. Boże, wiedziałem, co wyprawiają, a bałem się pisać słówka. Ażeby was kołem łamali za mój grzech, toć w oczy wstydzilem się ludziom patrzeć, jak wyrzekali za złodziejstwa... Szelmy, konie mi wyprowadzili, okup dałem przez Starszego... nie oddali... A potem zdybałem ich w komorze... wyluskali mnie co do grosza... nożem zagrozili... jeszcze musiałem przysięgać, że ich nie wydam! O zbójce!

— Cała okolica cierpiała przez nich.

— Wiele to koni wzięli ludziom, wiele krów, wiele dobra!

— Mogli wszystko, bo Starszy patrzył przez palce i dzielił się...

— Balowali se naszym kosztem, niechże teraz zapłacą...

— Kiej wszyscy mówią, to i ja rzeknę — wyrwał się któryś — oto wiem, że księdza za te śluby, co je dawał Podlasiakom, Gajdy wydały naczelnikowi...

— Cie... księdza nawet zdradzili.

— To i panny z poczty, co dzieci nauczały, też oni wydać musieli?

— A oni! oni! wiadomo — przytwierdzał młynarz zajadle.

— To i tych żydów w lesie nie kto inszy oporządził.

— A juści, że Gajdy! A oni!... Ścierwy! Zdrajce... Zbójce... — jęli wymyślać, kłąć, tupać a trzaskać kijami, gniew srożył się w sercach i ponosił, ślepie gorzały, a zaciśnięte pięści trzęsły się nad głowami.

— Skończyć z nimi! pokarać psułatów! Na sąd ich! na sąd...

— To chodźmy prędzej, by nam nie uciekli — wołał Jędrzej.

— Pasy drzeć z takich.

— I kołami, jak psów wściekłych, zakatrupić! — po krzykiwali, tłocząc się we drzwiach.

Młynarz zgasił światło i poszedł z drugimi.

A skoro się jeno wysypali przed dom, Jadwiś wybiegła przyczajona pod ścianą, patrzyła wylękle, kaj się to wleką w taką noc i po co?

Bo noc była prawdziwie marcowa, zimna, wietrzna i mokra. Skośnione ciemnice oblały cały świat, deszcz ze śniegiem zacinął w twarz, aż dech zapierało, wiatr przelewał się po sadach i podwiewał ze wszystkich stron, a z pół przemiękłych, kaj się jeno z czarniawy bieliły grzbiety zagonów ośnieżonych, ciągnął wilgotny zamróz i przejmował ziąbem do szpiku, ale chłopci, nie bacząc na porę przyguli, szli ostro i mocno, jaże się błoto roztwierało pod nogami. Ciągnęli chytliwym, gęśim, pobok niskich chałup, co, kieć kumy utrudzone, przysiadły nade drogą, kuląc się w sadach, że jeno dachy ośnieżone, niby te czepce białe, widniały skróś drzewin rozkołyszanych.

Jędrzej szedł na przodzie i z cicha zarządzał, że co trochę ktosik wyrывał się z rzędu, leciał do okien bił pięścią i wołał:

— Wychodź! Pora!

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Darwinizm.

Darwinizmem nazywamy teorię — jeśli nie samodzielnie przez sławnego przyrodnika angielskiego Karola Darwina postawioną, to w każdym razie przez niego sumiennie, wyczerpująco i jasno ujętą — teorię, tłumaczącą konieczne, nieugięte prawa, rządzące rozwojem organizmów na ziemi. I tak przez wskazanie tych praw oraz podanie naturalnych przyczyn rozwojowych zjawisk przyrody, przeciwstawił się Darwin mistycznemu sposobowi patrzenia na świat i życie. Oto dlaczego dziełami swymi wywołał i do dziś dnia wywołuje protesty u ludzi, przesiąkniętych mistycyzmem i cudownością.

Darwin rozwiązał dwie teorie, a to rozróżnienie dwóch teorii jest nader ważne. Zasadniczą i tą, którą powinniśmy zawsze mieć na myśli, mówiąc pokrótce: „teoria Darwina”, jest tak zwana teoria ewolucyjna czyli rozwojowa, nazwana także descendencyjną czyli pochodną. Druga: to teoria selekcji czyli teoria doboru naturalnego. Rozpatrzmy z kolei obie.

Pierwsza teoria ewolucyjna — rdzeń darwinizmu — mówi nam, jak powstawały ożywione formy, jak się istoty żyjące zwolna i stopniowo poprzez wiekowy okres czasu zmieniały i rozwijały; jak się poprzez lat miliony nieznacznie, powoli przekształcały z niższych istot żyjących w wyższe.

Podobnie pojmowało i przed Darwinem wiele filozofów i przyrodników rozwój form żyjących; ograniczymy się w tym krótkim szkicu do wymienienia tylko jednego z najwybitniejszych poprzedników Darwina, francuza Jana Lamarck’a.

Nie zatrzymując się więc dłużej nad historyczną częścią tej nauki, zapytajmy: jakie dowody przemawiają za słuszością teorii rozwoju? Co przytoczyć możemy na poparcie tej tezy długowiekowego, powolnego, postępowego rozwoju i przeobrażania się istot żyjących? Dlaczego nie przyjmujemy raczej za podstawę naszych w tym kierunku mniemań — powstanie jednorazowe, nagłe, cudowne, gotowych już gatunków zwierzęcych?

Z niezmiennie licznych faktów dowodowych, świadczących na korzyść teorii ewolucyjnej, podamy najważniejsze.

Obserwując świat roślinny i zwierzęcy, widzimy, że warunki świata zewnętrznego wywierają olbrzymi wpływ na istoty żyjące. Jeśli te warunki zewnętrzne są normalne to i rozwój normalny organizmu może być osiągnięty. Zmienimy te normalne warunki i mniej dajmy np. światła żyjącej istocie, mniej ciepła, niestosowne pożywienie i t. p., a już przez to samo zmienimy normalny tryb życia danego zwierzęcia czy rośliny. Jestestwa te zmieniają się, przystosowując

się do nowych warunków bytu. Wystarczy uprzytomnić sobie te olbrzymie zmiany warunków zewnętrznych, jakie zachodziły w ciągu długich, geologicznych okresów na ziemi, aby sobie uświadomić, do jakiego stopnia musiały zmieniać się równocześnie istoty żyjące. Oto dlaczego nie możemy uznać jednorazowego powstania jestestw stałych, gotowych, niezmiennych, natomiast uznać musimy ich stopniowy, powolny, postępowy rozwój (stąd nazwa: „teoria rozwoju”).

Doniosłe i nadzwyczaj ciekawe dowody na korzyść teorii ewolucyjnej podaje nam tak zwane prawo biogenetyczne (E. Hæckel). Dało się mianowicie sprawdzić, że zarodek niektórych zwierząt, dojrzewając, powtarza w swoim indywidualnym stopniowym rozwoju te fazy i zmiany, przez jakie przechodziły przodki jego w poprzedzającym, długim okresie czasu. Np. jedna z form rozwojowych żaby, t. zw. kijanka oddecha skrzelami; z czasem skrzel znikają a wytwarzają się płuca. Możemy z tych pojedynczych stadiów rozwojowych — opierając się na prawie biogenetycznym — wyciągnąć wniosek o pochodzeniu żaby; możemy ogólnie wnioskować, że różnorakie formy zwierzęce rozwijały się z siebie, że się przeobrażały (stąd druga nazwa: „teoria descendencyjna” czyli pochodna).

Do bardzo ważnych dowodów na poparcie teorii ewolucyjnej należą t. zw. organy szczątkowe. Są to organa, które u przodków były bardziej rozwinięte, u potomków zaś są w stanie zaniku i to albo zdolne wykonywać czynności w sposób niezupełny (u człowieka np. jedenasta i dwunasta para żeber, ślepa kiszka i t. p.) albo zupełnie nieużyteczne (np. kość ogonowa, trzynasta para żeber u dorosłego, mięśnie ucha, i t. p.). Istnienie tych szczątkowych organów tłumaczy się tem, że tylko organa użyteczne przekazują się i zachowują, natomiast organa, których się nie używa więcej z powodu zmienionego trybu życia — zanikają zwolna (np. oczy u zwierząt, żyjących w ciemnych jaskiniach). O czym świadczą tedy te organa? Czyż nie o zdolności organizmów do przystosowywania się do warunków bytu? A oprócz tego są one dokumentami, odsłaniającymi rodowód organizmów, bo są śladami organów, które ongiś spełniały użyteczne czynności u przodków.

Poparta niezmierną ilością faktów, teoria ewolucji tłumaczy nam powstanie bogactwa form zwierzęcych i roślinnych na ziemi.

Wykopaliny najróżnorodniejszych form zwierzęcych, dziś już nie istniejących — potwierdzają na prawdzie oparte twierdzenia ewolucjonistów.

Tej teorii rozwoju przeciwstawiają się rozmaite hipotezy mutacyjne, to znaczy wierzenia w jednorazowe, nagłe stworzenie skończonych i gotowych organizmów. Rośliny i zwierzęta z tego punktu widzenia uważane są za twory niezmiennie.

Ta cudowna legiendaria o stworzeniu świata nie wnika w zawily związki zjawisk życiowych, nie wskazuje przyczyn, nie odkrywa koniecznych praw.

To zadanie przypada w udziale teorii rozwoju.

Druga teoria Darwina, teoria selekcji czyli doboru naturalnego, jest uzupełnieniem niejako i tłumaczeniem ewolucji. Darwin zastanawia się mianowicie nad przyczyną wspomnianego rozwoju organizmów. Jako przyczynę podaje: walkę o byt. Z powodu tej walki o byt zachowują się przy życiu tylko te organizmy, które są lepiej uposażone, odporniejsze na warunki zewnętrzne. Te dodatnie znamiona drogą dziedziczności przekazują się i w następnych pokoleniach wzmacniają się jeszcze. Słabsze organizmy giną.

Ta teoria, teoria doboru naturalnego — nie teoria ewolucji — jest dziś jeszcze dyskutowana.

Ważnem dla Darwina zagadnieniem było pochodzenie człowieka. Zrozumienie tej kwestji pozwoli nam wyrobić sobie pogląd na stanowisko człowieka w przyrodzie.

Jeśli porównamy człowieka co do rozwoju, co do budowy szkieletu, mięśni i organów wewnętrznych — z pewną grupą małp t. zw. małpami wyższymi, antropomorficznymi czyli czelkokoształtnymi (goryl, szympan, orangutan, gibbon) — to odnajdziemy uderzające podobieństwo w wielkich i drobnych szczegółach. Uczony angielski Huxley mówi, że „różnice między człowiekiem a gorylem są mniejsze niż te, które zachodzą między gorylem a innymi małpami”. Po międzygatunkiem ludzkim a małpami antropomorficznymi istnieje nie tylko ta powierzchowna analogia co do budowy ciała i organów, ale — co jest rzeczą niezmiernie ważną —

istnieje i głębsze, wewnętrzne powinowactwo, pokrewieństwo krwi.

Nie możemy w tym krótkim szkicu przedstawić metody, na mocy której ta tak doniosła wiadomość została zdobyta; zaznaczymy jednak, że przeprowadzona z całą ścisłością jest ta metoda stosowana bardzo skutecznie w medycynie sądowej, gdzie chodzić może np. o zbadanie czy plama jakaś pochodzi z krwi ludzkiej.

A więc — niewątpliwie — człowiek jest zwierzęciem z działu naczelných (prymatów), spokrewnionem z dzisiejszymi małpami wyższymi.

Wspomniane już powyżej prawo biogenetyczne — łącznie z teorią ewolucji — pozwala nam na wnioski jeszcze ciekawsze. I tak zarodek ludzki w pewnym swem stadium rozwojowym wykazuje... skrzelą, które później zanikają. Świadczy to o pokrewieństwie człowieka z rybami. Ryba jednak nie przedstawia nam wcale praformy zwierzęcej. Najniższe twory — ameby, bakterie — są organizmami elementarnymi czyli jednokomórkowymi. I jajo zwierząt ssących — z którego powstać może zarodek — jest tylko jedną komórką.

Od ameby, gołem okiem niewidzialnej, aż do człowieka, dokonał się rozwój.

Przez niższe twory przeszła organizacja człowieka. Posiada ona w swojej budowie liczne ślady przebytej drogi. „Nadzwyczajna liczba organów szczątkowych u człowieka, daje jeden jeszcze dowód jego pochodzenia zwierzęcego i oddaje do rozporządzenia wiedzy: dane wielkiego znaczenia dla filozoficznego pojęcia natury ludzkiej“. (Miecznikow).

Wstecz patrzącemu oku myśliciela uwidaczniają się stądja długiej, odwiecznej, przebytej drogi, a naprzód w przyszłość patrzącemu: postępowy rozwój w równej mierze.

„Głos“.

Józef Bl—g.



Ruchy ziemi.

Astronom francuski Kamil Flammarion donosi w „New York Herald“ o nowem odkryciu naukowem, które zachwiewa legendą, jakoby łąd stały na ziemi był czymś niewzruszonym. Dotychczas sądzono, że przypływ i odpływ ogranicza się tylko do morza. Jak wiadomo podnosi się dwa razy dziennie woda morska pod wpływem przyciągania księżyca i słońca. Na podstawie długoletnich badań doszedł astronom Hecker w Potsdamie do przekonania, że przyciąganie księżyca i słońca oddziaływa także i na łąd stały. Łąd stały podnosi się dwa razy dziennie blisko o 20 cm. Nasuwa się pytanie, dlaczego nie możemy bezpośrednio zaobserwować tych ruchów. Oto dlatego, że podnosi się całe otoczenie, wobec czego nie mamy żadnego stałego punktu, na którym moglibyśmy ruch ten mierzyć. Tak samo nie możemy obserwować przypływu i odpływu na pełnym morzu. Dopiero przy brzegu możemy zaobserwować zmianę wysokości powierzchni morza.

Znamy już 12 niewidzialnych dla nas ruchów ziemi, których większość jest dla naszego życia rozstrzygającą. Zналиśmy dotychczas:

1. Codzienny obrót ziemi (rotację) naokoło swej osi w 24 godzinach 56 minutach.
2. Roczny obrót ziemi (rewolucję) naokoło słońca w 365 dniach i 6 godzinach.
3. Posuwanie się zrównań dnia i nocy w 25 765 latach.
4. Miesięczny obrót ziemi naokoło centrum grawitacyjnego ziemi i księżyca.
5. Zmiany wywołane przyciąganiem księżyca, zachodzące w 18 $\frac{1}{2}$ lat.
6. Stuletnie zmiany pochyłości ekliptyki.
7. Stuletnie zmiany oddalenia środka drogi ziemskiej od słońca.
8. Przesunięcie największej osi drogi ziemskiej odbywające się w ciągu 21 000 lat.
9. Zmiany, powstające przez zmienne przyciąganie planet.

10. Zmiany centrum grawitacyjnego systemu słonecznego, około którego ziemia w ciągu roku się obraca.

11. Ogólny ruch systemu słonecznego w kierunku gwiazdy Pi, konstelacji Herkulesa.

12. Ruch biegunów ziemskich, których wahania się wynoszą około 12 metrów.

Z powyższego zestawienia widać, jak bardzo nauka odbiegła od dawniejszych twierdzeń, wedle których ziemia była czymś absolutnie stałym i niewzruszonym.



Rozmaitości



Niebezpieczna przygoda. W pewnym wiedeńskim teatryku występowała tancerka indyjska, która podczas tańca obwijała się olbrzymim węzem. Przez kilka wieczorów artystka zauważyła, że wąż więcej ją ścisnął, niż zwykle, skoro to uczuwała, chwytając zaraz głowę węża i silnie ją ścisnęła. Wreszcie podczas jednego przedstawienia opasywania węża stały się jej nieznośne, wąż usiłował ją zgnieść, a artystka tylko z wielkim wysiłkiem poskromiła swą niewdzięczną ozdobę. Chwyciła węża rzucającego się wściekle za głowę i trzymała tak długo, dopóki nie nadbiegli posługiwacze. Kazała urznąć wężowi głowę, gdyż obawiała się występować z tak niebezpiecznym stworzeniem.

*

*

*

Śmierć z głodu. Do Algieru w Afryce przybył parowiec „Austria“, który przywiózł ze sobą łódź ratunkową z pięciu trupami ludzkimi. Jak przypuszczają, chodzi tu o łódź ratunkową z okrętu żaglowego „Kondor“, który zatonął. Część załogi „Kondora“ uratowała się do łodzi ratunkowej, lecz nie mając skądinąd ratunku, umarli z głodu na morzu.



Z literatury i sztuki



Aleksander Charpentier. W Paryżu zmarł w wieku lat 53 znakomity rzeźbiarz francuski Aleksander Charpentier.

Pochodząc z rodziny robotniczej, dużo musiał zwalczać trudności, nim udało mu się wstąpić do akademii sztuk pięknych. Pomimo jednak niedostatku i ciężkiej pracy zarobkowej, szybko zdobył uznanie w świecie artystycznym swojemi miniaturowemi wypukłorzeźbami na brązie i w cynie. Zaniedbaną w nowszych czasach sztukę plakiety podniósł znowu na wyżyny sztuki; niemal wszystkie znakomitości współczesne były przezeń w ten sposób portretowane.

Wielkie jego prace, do których czerpał tematy głównie z życia robotniczego, zdobyły mu słuszną nazwę „artysty proletariatu“. Szczególnie zasługuje na uwagę najlepsza jego kolosalna płaskorzeźba „Chleb“, znajdująca się na „Place St. Germain-des-Près“. Drugiem, najbardziej znanem jego dziełem jest grupa pomnikowa na cmentarzu Montmartre.

Zmarły artysta pod względem ideowym stał bardzo blisko obozu socjalistycznego i brał czynny udział w pracach kulturalnych partii. Kiedy Antoine założył swoją wolną scenę, Charpentier stał się jednym z najgorliwszych jego współpracowników w kierunku odnowienia i demokratyzowania teatru.

Ostatnio był wraz ze znakomitym belgijskim rzeźbiarzem Meunierem, również niedawno zmarłym i tak samo „artystą proletariatu“, powołany do stworzenia pomnika Zoli. Dzieło to nie zostało doprowadzone do końca.

Charpentier był także członkiem sądu konkursowego, drogą zaproszeń mianowanego przez komitet budowy pomnika Chopina w Warszawie.